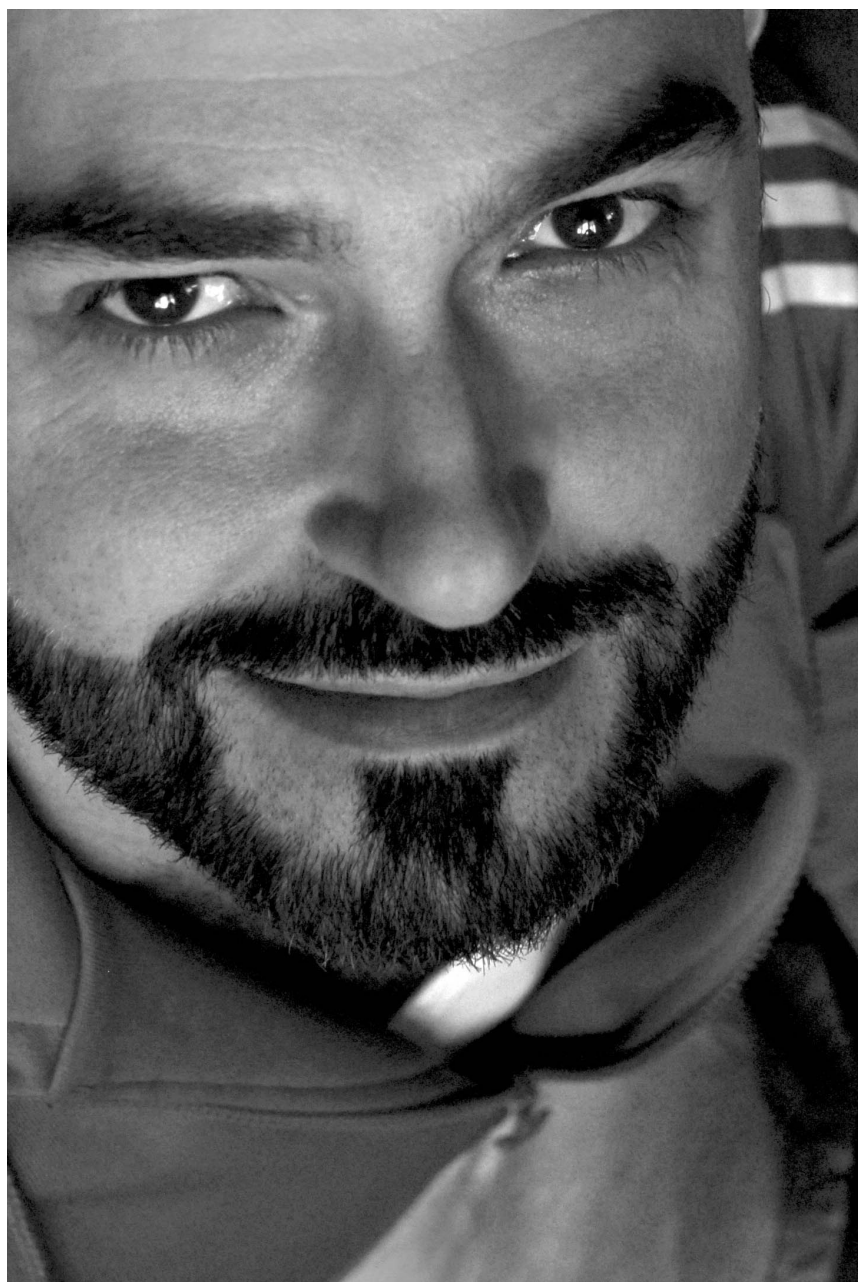


BEREK



Marcin Szczygielski

Pisarz, dziennikarz i grafik. Debiutował bestsellerową powieścią *PL-BOY*, potem ukazały się: *Wiosna PL-BOYA*, *Nasturcje i ćwoki*, *Farfocle namiętności*.

2007 r. otworzył nowy rozdział w twórczości Szczygielskiego – ukazał się *Berek*, historia geja i przedstawicielki moherowych beretów, których pozornie nie łączy nic poza wzajemną nienawiścią. Książka szybko stała się bestsellerem, a autorska adaptacja teatralna wyreżyserowana przez Andrzeja Rozhina z Ewą Kasprzyk i Pawłem Małaszyńskim w rolach głównych od kilku lat przyciąga tłumy widzów do warszawskiego teatru Kwadrat. W lutym 2010 r. w warszawskim teatrze Komedia Tomasz Dutkiewicz wyreżyserował kolejną sztukę pisarza – *Wydmuszkę* – z Anną Guzik i Joanną Liszowską w obsadzie. Jesienią 2011 r. w tym samym teatrze odbędzie się premiera sztuki Szczygielskiego „*Furie*” z Teresą Lipowską w roli głównej.

Wiosną 2010 r. ukazały się *Bierki*, kolejna część cyklu *Kroniki nierówności*, zapoczątkowanego przez *Berka*. Również ta powieść trafiła na listy bestsellerów, a w rankingach portali gejowskich została uznana za książkę roku.

Odrębnym rozdziałem literackiej aktywności Szczygielskiego są książki dla dzieci i młodzieży. Pierwszą z nich była *Omega* – powieść o przygodach dwunastoletniej fanki gier komputerowych, dla której rzeczywistość w niebezpieczny sposób zaczyna mieszać się ze światem wirtualnym. Książka, zilustrowana przez Bartka Arobała, w 2010 r. trafiła na Listę Skarbów Muzeum Literatury Dziecięcej i została wyróżniona w konkursie im. Hanny Skrobiszewskiej oraz w konkursie Najpiękniejsze Książki Roku organizowanym przez Polskie Towarzystwo Wydawców Książek. Rok później otrzymała nagrodę „Książka Roku 2010” Polskiej Sekcji IBBY.

Kolejną powieść dla młodzieży, *Czarny Młyn*, opowiadającą o dzieciach z popelegerowskiej wioski, które muszą zmierzyć się z bezosobowym złem czyhającym w ruinach pobliskiego kombinatu, Marcin Szczygielski napisał na Konkurs Literacki im. Astrid Lindgren organizowany w ramach akcji Cała Polska Czyta Dzieciom. Jury uznało *Czarny Młyn* za najlepszą spośród wszystkich 580 nadesłanych prac, przyznając mu Grand Prix i statuetkę Pippi Langstrump, a także I nagrodę w kategorii powieści dla dzieci w wieku od dziesięciu do czternastu lat.

Trzecią książką autora skierowaną do młodszych nastolatków jest powieść „*Za niebieskimi drzwiami*”, która wiosną 2011 roku została nominowana – zarówno przez jury dziecięce, jak i profesjonalne – do Nagrody DONGA, kontynuatorki wieloletniej tradycji konkursu „Dziecięcy Bestseller Rou”.

Książki tego autora:

- **PL-BOY** (2003)
- **Wiosna PL-BOYa** (2004)
- **Kuchnia na ciężkie czasy** (2004)
- **Nasturcje i ćwoki** (2005)
- **Farfocle namiętności** (2006)
 - **Berek** (2007)
- **Berek+** (III wydanie powieści poszerzone o tekst sztuki teatralnej
Berek, czyli upiór w moherze, 2008)
 - **Omega** (2009)
- **Les Farfocles** (II wydanie *Nasturcji i ćwoków* oraz *Farfocli namiętności*
– dwie powieści w jednym tomie, 2009)
 - **PL-BOY²** (II wydanie *PL-BOYa* oraz *Wiosny PL-BOYa*
– dwie powieści w jednym tomie, 2009)
 - **Bierki** (2010)
 - **Za niebieskimi drzwiami** (2010)
 - **Czarny Młyn** (2011)

Sztuki teatralne:

- **Berek, czyli upiór w moherze** (2008)
 - **Wydmuszka** (2009)
 - **Furie** (2010)
- **Lody** musical (muz. Marcin Nierubiec) (2011)



OFICyna
Wydawnicza
AS

marcin szczygielski

KRONIKI NIERÓWNOŚCI VOL. I

BEREK



Z PRZEDMOWĄ
tomasza raczka

w a r s z a w a 2 0 1 1

Projekt okładki, stron tytułowych i ilustracje
Marcin Szczygielski

Redakcja
Anna Nastulanka

© Copyright by Marcin Szczygielski, 2007
© Copyright by Oficyna Wydawnicza AS, 2011
© Copyright by Instytut Wydawniczy Latarnik, 2011
Zdjęcie autora © Oficyna Wydawnicza AS



Dystrybucja

Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00/11, fax 22 721 30 01
zamówienia internetowe: 22 721 70 07 lub 09
www.olesiejuk.pl
www.oramus.pl

Projekt typograficzny i skład komputerowy
Oficyna Wydawnicza AS

ISBN 978-83-60000-74-8

INSTYTUT WYDAWNICZY LATARNIK
IM. ZYGMUNTA KAŁUŻYŃSKIEGO
Warszawa, ul. Cypryjska 89
tel./fax 22 614 28 34
e-mail: latarnik@latarnik.com.pl
sklep@latarnik.com.pl

Marketing i promocja: Bartosz Dworzyński
e-mail: dworzynski@latarnik.com.pl

Zapraszamy do księgarni internetowej
www.latarnik.com.pl
oraz na nasz profil na portalu Facebook
www.facebook.com/iwlatarnik

Warszawa 2011
Wydanie V poprawione

P

Przedmowa

Ilekoć pada słowo gej, podświadomość przełącza rozmowę na taryfę specjalną. Przed oczy natychmiast pchają się obrazy przebierańców z gejowskich parad: przerysowane, groteskowe postacie u jednych budzące śmiech, u innych obrzydzenie; zwykle jednak trudne do wyobrażenia w zwyczajnym życiu.

Utrwalił się więc schemat: geje są inni, czyli obcy, niezrozumiali, nieprzewidywalni, mogą zagrozić poukładanemu w głowach światu. Przez nich podział na dobro i zło traci biblijny kontrast, a politycy mają nieustanny kłopot. Jedni najchętniej pozbyliby się tego bólu głowy i zesłali wszystkich gejów gdzieś daleko — najlepiej na Madagaskar, byleby tylko nie musieć ich oglądać i nie mieć z nimi do czynienia. Inni na odwrót — oferują gejom wyciągniętą rękę i swoją tolerancję. Owszem jesteście inni — mówią — ale my jesteśmy tolerancyjni i pozwalamy wam być takimi, jakimi jesteście, mimo że odbiegacie od normy.

Zapamiętajcie te dwa groźne dla polskiego geja słowa: Madagaskar i tolerancja. Odrzucenie i fałszywa życzliwość. Z jednej strony przekonanie, że tylko jeden model życia jest prawidłowy, prowadzące do stawiania się w pozycji sędziego, z drugiej – protekcyjne poklepywanie sprowadzające gejów do roli antropologicznej ciekawostki. W obu wypadkach traktuje się ich jako dziwną grupę odmieńców naruszających ogólnie przyjęte standardy, tyle że pierwsi na to się nie zgadzają, a ci drudzy dają przyzwolenie.

Ale jest jeszcze trzeci, znacznie uczciwszy sposób odnoszenia się do gejów: traktowanie ich jako oczywistości – biologicznej, społecznej i kulturowej, mającej naturalne prawo do istnienia.

Pragnienie bycia sobą jest wśród gejów coraz większe. Procesu ich społecznej emancypacji już nic nie powstrzyma. Coraz rzadziej będą się wśród nich zdarzały małżeństwa zawierane pod naciskiem rodziny, żyjące potem w nieszczęściu, a czasem w prawdziwych torturach. Zygmunt Kałużyński powiedział kiedyś: *Uważam, że przyznanie się do faktu bycia homoseksualistą, nie tylko wobec samego siebie, ale także wobec otoczenia, daje wolność. Wtedy nie trzeba udawać, błagować, wykręcać się i kłamać.*

Wolność to pojęcie dla geja najważniejsze, będące kwintesencją istoty jego losu. Wolność bywa jednak i piękna, i niebezpieczna; niesie ze sobą wiele zagrożeń, które – bywa – doprowadzają do jej utraty. Niestety, rozumieją to tylko nieliczni.

Gdy w 1975 roku na plaży w Ostii znaleziono ciało zamordowanego reżysera-geja Piera Paola Pasoliniego, Oriana Fallaci opublikowała głośny List do niego: *Miałeś potrzebę absolutu, ty, który opętałeś nas słowem humanizm. Mogłeś ugasić swą udrękę i zaspokoić swe pragnienie wolności, tylko*

znajdując taki koniec: z roztrzaskaną głową i rozszarpanym ciałem. To nieprawda, że nienawidziłeś przemocy. Potępiłeś ją przez rozum, lecz duszą ją wzywałeś, bo to był jedyny sposób, żeby tego spalającego cię demona obłaskawić i ukarać. To nieprawda, że przeklinałeś ból. Przeciwnie, służył ci on jako lancet do usuwania anioła, który był w tobie. Piszząc, znieważałeś, raniłeś tak głęboko, aż pękało serce.

Żeby zrozumieć gejów — i tych zwyczajnych, codziennych, i tych, którzy stają się wielkimi pisarzami, reżyserami, aktorami, poetami — trzeba przyjąć, że mają oni swój własny świat: ani gorszy, ani lepszy od świata większości, ale — rzekłbym — równoległy. Jego potoczność różni się od doświadczenia tych, którzy go nie znają, ale przecież jest tak samo ważna jak świat każdego innego człowieka. Niewymagająca niczyjej zgody ani przyzwolenia na swoje istnienie.

Powieść Marcina Szczygielskiego *Berek* reprezentuje taki właśnie sposób myślenia: nie epatuje środowiskową odmiennością ani nie próbuje na siłę szukać dla niej usprawiedliwienia. Pisana jest z pozycji człowieka pewnego swojej tożsamości i umiającego walczyć o siebie. Ton łagodnej obietnicy szczęścia, jaki się w niej pojawia, jest dla mnie powodem do osobistej radości. Wszak od piętnastu prawie lat jestem życiowym partnerem Autora.

Tomasz Raczek

Tomkowi

**Marchewkowe pole rośnie wokół mnie
W marchewkowym polu jak warzywo tkwię
Głową na dół zakopany niczym strus
Chcesz mnie spotkać – głowę obok w ziemię wpuść**

**Marchewkowe o ogrodzie mieszkam sny
W marchewkowym stanie jest najlepiej mi
Rosnę sobie – dołem głowa, górą nać
– Kto mi powie: co się jeszcze może stać?**

Lady Pank,
piosenka do filmu animowanego
O dwóch takich, co ukradli księżyc

**Miasto zamyka się nad moją głową
Czy jestem Nim? Czy jestem sobą?**



Koniec kwietnia

I

— Patrz! — Michał przekrzykuje muzykę i szturcha mnie w bok, wskazując jednego z czterech gostków, którzy mijają nas w korytarzu. Chłopak ma na oko dziewiętnaście, może dwadzieścia lat. Dokładnie mój typ. Krótko obcięte, czarne włosy, nieogolony, lekko napakowany, z zamglonym, ciętym spojrzeniem. Seksowny i niegroźny. Czuję mrowienie w podbrzuszu.

— Mój! — odkrzykuję.

Michał powątpiewająco podnosi brew:

— Zobaczmy, Pawełku... Kto pierwszy, ten lepszy.

Wyciągam szyję, żeby zobaczyć, dokąd pójdzie chłopak. Zmierza w kierunku wucetów i darkroomu.

— Chodź — pociągam Michała za ramię.

Odklejamy się od ściany i idziemy w kierunku toalet. Przepychamy się przez stadko małych rzucających tęskne spojrzenia w stronę wejścia do darkroomu i wchodzimy

do kibla. Zamykamy się w jednej z kabin i wciągamy po kresce. Jezu słodki, jest po prostu zajebiste! Czuję się zwinny i szybki jak Aeon Flux; nieomylny i celny jak Violet; męski jak Blade Runner i niepowstrzymany jak Hulk — zabójcza mieszanka.

Zostawiam Michała w kabinie, wychodzę z kibla i zanurzam się w wilgotny, pachnący męskimi ciałami mrok. Wniebowstąpienie. Czekam przez chwilę, żeby mój wzrok przyzwyczaił się do ciemności, odtrącam czyjaś dłoń, która zaczyna gmerać mi przy rozporku. Wchodzę głębiej, przeciskam się przez gąszcz nagich torsów i rąk. W słabym świetle czerwonej żarówki wypatruję mojego objawienia. Robię jedno, potem dwa kółka i wreszcie go dostrzegam. Zajął miejscówkę w kącie pomieszczenia, tuż obok wejścia — musiałem go minąć. Zdjął T-shirt, spodnie ma lekko rozpięte i opuszczone, widać slipki i ciemną linię gęstych włosów łonowych. Stoi sam, ma uniesioną twarz, półprzymknięte oczy i biernie opuszczone, luźne ręce. Staję przed nim, blisko. Spogląda na mnie przez chwilę, potem zamyka oczy i odchyła się do tyłu. Wzdycha, gdy jego nagie plecy dotykają zimnego tynku. Uśmiecham się i klękam przed nim. Lekko całuję nagi fragment skóry pod pępkiem, dłonią leciutko zaczynam masować jego krocze. Wolno rozpinam suwak rozporka i odchylam gumkę slippek. Przysmykam oczy, przytulam twarz do jego podbrzusza i wciągam zapach. Niebiański zapach. Zapach młodego, gorącego, spoczonego faceta. Faceta, który prawdopodobnie ostatni przysznic brał rankiem. Przeszywa mnie dreszcz rozkoszy, pojękuję cichutko i zabieram się do roboty. Twarde kafle gresu boleśnie uciskają moje kolana, zastanawiam się, czy nie kucnąć, ale mimo wszystko tak jest lepiej. Lepszy dostęp. Lewą ręką trzymam odcignięte slipki, prawą leciutko ściskam jego

jajka i obciążam na całego. Aż do końca. Za każdym powrotem nos zagłębia mi się ciemnych, poskręcanych, błyszczących włosach. Czuję go daleko za migdałkami. Po dwóch czy trzech minutach jądra chłopaka ściskają się, można twarde nieje. Łapie mnie za głowę i usiłuje odepchnąć. O nie, kochany — uśmiecham się w duchu. Nie pozwalam się odsunąć. Lekko przytrzymuję zębami jego kutasa tuż za żółędzią, a potem wciągam głęboko. Chłopak wypina biodra do przodu, potem je cofa i tryska przy wtórze głośnego jęku. Trzy wielkie porcje spermy lądują mi w samym gardle. Kręci mi się w głowie, fala szczęścia zalewa mnie jak przypływ. Polykam go i setki tysięcy potencjalnych ludzkich istnień. Wysysam ostatnią kroplę. Euforia. Dla takich chwil jak ta warto żyć.

II

— Ania, patrz! — Janka szepcze mi do ucha. — Ta spod piętnastki znowu była w lumpeksie.

Spoglądam na utlenioną kobietę stojącą dwa rzędy przed nami. Wredne babsko ma na sobie turkusową jesionkę. Całkiem ładny płaszcz, chociaż ja nigdy nie założyłabym czegoś w takim kolorze. Stara robi się na liceum.

— Rękawy za krótkie — odszeptuję.

— Chodź, idziemy — mówi Janka półgłosem, szturchając mnie w bok.

Źle stanęłam, ma bliżej do przejścia. Znowu będzie pierwsza, przecież nie będę się z nią ścigała. Janka wtyka torebkę pod pachę i rusza w kierunku ołtarza. Na pewno zjadłam całą szminkę, cholera. Nie zdążyłam sprawdzić w lusterku, kazanie było takie zajmujące. Janka przepycha się między ławkami, roztrąca inne kobiety. Krowa. I jak grubo wygląda z tyłu. Ksiądz Marek spogląda prosto na mnie i uśmiecha się, kiwając głową. Boże, jaki to piękny mężczyzna. Krótko

obcięte, czarne włosy, śniady, białe zęby. Że też tacy piękni mężczyźni chodzą po tej ziemi. Uśmiecham się szeroko do niego i klękam na twardej, zimnej posadzce. Wciągam zapach kadzidła i kwiatów, przytłumiony nieco przez zapach perfum i wilgotnych płaszczy. Majtki wpijają mi się w pupę, ale nie mogę ich poprawić — czuję dziesiątki oczu na swoich plecach. Janka klęczy obok. Jeżeli wstanie sama, to będzie cud boski, moim zdaniem. Jest tłusta jak wieloryb. Boże jedyny, jak pięknie to wszystko wygląda. Ołtarz umajony kwiatami, biała koronkowa serweta. Matka Boska spogląda na mnie z obrazu swoimi mądrymi oczami. Czuję lekki dreszcz szczęścia, zupełnie jakbym już prawie w niebie była. Ksiądz Marek zbliża się do mnie. Spoglądam w górę, na jego silną szczękę, śniade policzki. Potem mój wzrok schodzi w dół, przesuwając się po czarnej sutannie i zatrzymuje na czarnych pantoflach. Duże stopy. Wzdycham, podnoszę twarz i spoglądam mu prosto w oczy. Uśmiecha się dobrotliwie, a ja szeroko otwieram usta. Kiedy kładzie białą hostię na moim języku, jego kciuk przez ułamek sekundy dotyka mojej wargi. Czuję ciepło, a żołądek kurczy się i na moment zwija w kulkę. Nad prawym ramieniem księdza Marka wisi nagi, cierpiący Jezus na krzyżu. Widzę jego szeroko rozpostarte ramiona, białą szatę na biodrach, jasną skórę podbrzusza, krople krwi. Pod beretem robi mi się cholernie gorąco, głowa mnie swędzi. Zamykam oczy i połykam Go. Zbawienie. Zalewa mnie fala szczęścia, uda drżą lekko. Dobry Boże, dziękuję Ci. Dzięki takim chwilom wiem, po co żyję.

III

Chłopak ma na imię Łukasz. Fryzjer. No, nie powiem, żeby to był szczyt szczęścia — nie wiem, czy chciałbym mieć faceta fryzjera. Ale generalnie robi wrażenie całkiem fajnego

gościa i jest taki słodki. Częstouję go trawką w kiblu, zaciągając się nieporadnie. Michał zmył się do domu z jakimś szczyłem ponad godzinę temu.

— Słuchaj, już po ósmej! — wykrzykuje, ze zdumieniem spoglądając na zegarek. — Chyba będziemy się zbierali, nie?

— No — mówi.

— Chcesz iść do mnie?

— A gdzie mieszkasz?

— Na Rakowieckiej, rzut beretem.

— Sam?

— Sam.

— Dobra — wzrusza ramionami.

Wychodzimy z Toro. Jest jasny dzień, całkiem dużo ludzi na ulicy, choć to niedziela. Nie lubię wracać z imprezy o tej porze, dla mnie wciąż jest wczoraj. Pochmurne, stalowe niebo, ale jak na kwiecień jest dość ciepło. Mijamy plac Unii Lubelskiej i Silver Screen. Łukasz nic nie mówi. Przeglądam mu się kątem oka. W pełnym świetle wygląda równie dobrze jak w półmroku klubu. Powiedział, że ma dwadzieścia pięć lat, raptem cztery lata mniej ode mnie, ale czuję się przy nim staro. Jestem pewny, że mam czarne wory pod oczami. Potrzebuję prysznic. I snu, chociaż nie wiem, czy uda mi się usnąć po tylu kreskach. Naciągam głębiej czapkę z daszkiem. Docieramy na moje podwórko. Spoglądam w górę na swoje okno, wszystko w porządku. Okno po drugiej stronie klatki schodowej odsłonięte. Pewnie ten kurwizjon już poleciał do kościoła. Pieprzona katoholicka. W całej kamienicy niemal wszystkie mieszkania są wynajmowane na biura, w jednym ma gabinet dentysta. Drugie zajęte mieszkanie jest na moim piętrze i pech nad pechami, że zamiast jakiegoś miłego chłopaczyny mieszka tam ten rozwrzeszczany moher.

— Uważaj! Gówno — ostrzega mnie Łukasz, przeskakując przez kupę leżącą na chodniku.

Daję duży krok i zatrzymuję się przed drzwiami klatki schodowej.

— Poczekaj, mam pomysł! — mówię, chichocząc.

Przeszukuję kieszenie, szukając jakiegoś kawałka papieru. Mam! Ulotka reklamowa. Trzymałem ją w kieszeni spodni na tyłku, jest nieco wilgotna, ale będzie OK. Przyklękam na chodniku i starannie zbieram psią kupę. Staram się jej nie rozmazać, żeby zachowała kształt.

— Pojebało cię? — pyta Łukasz.

— Ale jaja! Zobaczysz! — obiecuję, zaśmiewając się prawie do łez.

Otwieram drzwi na klatkę jedną ręką, w drugiej, wyciągniętej daleko przed siebie, trzymam leżące na kartoniku gówno. Prowadzę chłopaka na moje pierwsze piętro i przybijam przed wejściem do mieszkania tej suki. Kładę palec na ustach i cichutko przykładam ucho do drzwi. Cisza. Na pewno jej nie ma. Założę się, że właśnie się czołga przez nawę kościoła na kolanach albo leży gdzieś tam krzyżem z wypiętym dupskiem. Pochylam się i delikatnie strząsam psią kupę na tandetną, wściekle kolorową wycieraczkę moherów. Wydaje mi się to niesłychanie zabawne. Łukasz przygląda mi się dziwnie.

— Tu straszna kurwa mieszka, należy jej się — tłumaczę.

— Żebyś ty wiedział...

W tym momencie patrzę na moje drzwi i słowa zamierają mi na ustach. Przez prawie całą ich szerokość biegną wypisane czarnym grubym markerem słowa PEDAŁ ŻYD. Stają jak wryty. Łukasz zaczyna chichotać

— Lubią cię tu — mówi i dodaje, śmiejąc się: — Zostałeś zdemaskowany.

Mam ochotę mu powiedzieć, żeby się zamknął. To są nowe drzwi gerdy, laminat w kolorze buku. W życiu nie zdołam doczyścić tego napisu! Będę je chyba musiał pomalować. Cholera, zupełnie nowe drzwi, prawie dwa i pół tysiąca złotych.

— Żebyś ty zdechła — cedzę przez zęby.

IV

— Piękna msza — wzdycha Janka, kiedy wychodzimy z kościoła. — Przepiękna. Dzięki ci, Panie Boże, że nam dałeś takiego księdza.

— Oj, tak, tak. Cudowny człowiek — odpowiadam słabym głosem.

Kolana jeszcze lekko mi drżą. Zapinam płaszcz i poprawiam beret.

— Co ty taka czerwona jesteś? — pyta Janka. — Słabo ci?

— Czerwona? Ja? Coś ci się zdaje — wzruszam ramionami i pytam szybko: — Dzieciaki przychodzą dziś na obiad?

Jakby mnie to cokolwiek obchodziło. Ona i jej dzieciaki. Banda wykołajeńców, moim zdaniem. Ten jej Antek to wyjątkowa dupa wołowa. Marnie skończy. A ta mała bździażwa, którą sobie wziął! Chryste Panie, miej litość. Raz ją widziałam i w zupełności wystarczy. Nadęta, wymalowana cwaniara. Kolczyki miała do łokci, zupełnie jak dwie spłuczki do sedesu. Złapała go na ciążę, już ja znam takie jak ona. To coś, co nazywała spódnica, ledwie jej cipę zasłaniało. Nie to co moja Małgosia. Małgosia nigdy by w czymś takim nie wyszła z domu.

— Nie — wzdycha Janka. — Antoś pracuje, mają teraz jakiś bilans czy coś. W firmie. Znaczy się, podliczają cały rok. Wiesz, bez niego to nic tam nie robią. Jest starszym koordynatorem produktu w Orange.

Wiedziała! Wiedziała, że to powie. Słyszałam już pięć milionów razy, czym jest ten jej garbaty owsik. Koordynator produktu! I co to niby znaczy? Zawracanie dupy kijem, jakby mnie kto pytał.

— A Joasia? — pytam.

— Joasia — Jance z miejsca rzędzie mina. — Joasia wyjechała. Z Jasiem.

— Wyjechała? Dokąd?

— Na wczasy.

— Na wczasy? W kwietniu? Wiesz, no, dziwię się... Nieźle im się powodzi, skoro ona na wczasy w kwietniu wyjeżdża. Latem pewnie też pojedzie?

— Nie wiem.

— A kiedy wraca?

— Eee... Niedługo.

— Niedługo? Jak to? Nie wiesz, kiedy wraca? — pytam z zapartym tchem.

Ha! Puściła go w trąbę! Jak nic! Dzięki ci, Panie Boże, jest jakaś sprawiedliwość na świecie. Muszę zadzwonić do Ninki, jak tylko wrócę.

— Nie wiem dokładnie. Nie pytałam.

Akurat! Nie pytała! I już w to wierzę. Mała, cwana bździągwa wycykała, co było do wycykania, i zwinęła żagle. Wiedziała, że tak będzie! Zresztą co jej się dziwić. Ten Antek to cielę, a nie chłop.

— Ojej... — mówię, robiąc na pokaz zmartwioną minę.

— Coś mi się zdaje...

— Niech ci się nie zdaje! — błyskawicznie przerywa Jan-ka. — Wszystko dobrze. Joasia była zmęczona i musiała pojechać odpocząć, do mamy.

— Do matki? Wyjechała do matki? A mówiłaś chyba, że na wczasy...

— Wczasy srasy! Ona jest ze Świnoujścia! Tam cały czas są wczasy. To nad morzem.

— Przynajmniej tanio ją to wyniesie, jak do matki pojechała — mówię pojednawczo.

Janka zaciska usta w wąską kreskę. Ninka trupem padnie, jak jej wszystko opowiem.

— A jak Małgosia? — pyta, kiedy skręcamy w Rakowiecką.

— Świetnie — mówię z satysfakcją.

— W pracy dobrze?

— Dobrze.

— Klienci są?

— Są.

— Bo, wiesz, teraz ludzie to ubrania głównie w lumpek-sach kupują. Jak kto ma wydać sto złotych na kurtkę w normalnym sklepie albo dziesięć złotych w lumpeksie, raczej pójdzie do lumpeksu. Ludzie się teraz tacy chytry zrobili.

— U Małgosi dobrze.

— Ach tak — mówi Janka. I dodaje po namyśle: — Ale w końcu, jak przestaną kupować, to straci pracę. I nie wiadomo, co będzie.

Już ja wiem, co będzie. Jej Antek weźmie rozwód, tyle będzie. Ale wstyd!

— A za mąż się nie wybiera?

— Kto?

— Małgosia.

Żeby cię pokręciło, wścibska krowo.

— Na razie nic nie mówi.

— No bo to wiesz, jakby późno się robi. Trzydziestkę już ma.

— Ma. No i co?

— Szanse małe.

— Na co małe?

— Na ślub. I dzieci.

— Teraz wszystkie później wychodzą za mąż. I dzieci później rodzą. Medycyna idzie do przodu.

To jej skutecznie zamyka gębę. Docieramy na nasze podwórko.

— Wejdiesz na kawkę? — pytam dla przyzwoitości. Najchętniej już bym zadzwoniła do Ninki. Poskręca ją, jak się o wszystkim dowie. Nie mogę się doczekać.

— A wiesz, że chętnie.

— Tak?

Czy ona swojej kawy w domu nie ma, czy co? Zawsze taka była — wszystko na krzywy ryj. Wyciągam klucze z torebki i mówię:

— Jak miło.

Spoglądam w górę na swoje okno. Wszystko w porządku. Zerkam na okno po drugiej stronie klatki schodowej. Żaluzje oczywiście zaciągnięte. Zboczeniec już wrócił. Całą noc pewnie się gdzieś gził z takimi samymi jak on. No bo co innego tacy robią? Wąchają sobie tyłki albo coś w tym stylu. Że też nikt z tym nie zrobi porządku. Dlaczego, pytam ja się kogo, jedyny sąsiad, jaki mi został w tej kamienicy, to zboczony pedał? I żyd, jak nic. Otwieram drzwi na klatkę schodową i prowadzę Jankę na moje pierwsze piętro.

— No a jak z tym dewiantem? — pyta, gdy docieramy do podestu.

— Szkoda słów — odpowiadam.

— Oj, masz z tym krzyż pański, masz. Nie wiem, co ja bym zrobiła, gdyby mi coś takiego za ścianą mieszkalo.

— Co byś zrobiła? Nic byś nie zrobiła! — ściągam usta.

— Z dozorcą rozmawiałam. I w administracji. A policję dwa razy już wzywałam. I nic. A ja wszystko słyszę!

— Co słyszysz?

— Co on tam robi. Z innymi.